NUMER 46. DNIA 25. LISTOPADA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

FELIKS GWIŻDŻ.

FALE.

Widzę, jak biegną, płyną, tańczą,
Jak ranią pierś o skalny brzeg,
Pieśń nucąc straszną, opętańczą,
Jakby je zgryz gorący piekł.

Słyszę, jak jęczą i zawodzą,
Jak płaczą głucho — płynąc wkrąg —
Widzę, jak od skał w głąb odchodzą,
Ku niemym źródłom wiecznych mąk.

— — —

Któż was urodził, fale?
— Król.
Jakoż się zowie, jako?
— Ból.

A któż was, fale, pieścił?
— Chłód.
A któż wam błądzić kazał?
— Głód.

Wiecznie płyniecie — dokąd?
— W dal.
Czy nie żal wam się błąkać?
— Żal.

Gdzież jest kres waszej drogi?
— W mgle...
Czy się spotkamy kiedy?
— Nie...

— — —

Błogosławiona niech będzie ta fala,
Co mi przyniosła smutek i zwątpienie —
Za jej to sprawą mój dom się obala,
W proch się obraca me mienie.

Wszystko, com dotąd gromadził w śpichlerze,
Płomień tęsknoty niszczy i przepala —
Popiół zostanie mi po starej wierze —
Błogosławiona ta fala...

Lwowskie znaki bibljoteczne.

II.

Bibliofile z „wieku oświeconego“.

W czasach upadku i obniżenia się poziomu umysłowego nie stało miejsca na średnie biblioteczki do praktycznych celów jednostek, bo zresztą i jednostek światłych zbyt wiele znowu nie było. Skarby bibljograficzne dawnych wieków drzemiąc, butwiały po bibliotekach klasztornych, a sprzęt bibljoteczny stanowił ozdobę niektórych tylko magnackich pałaców.

Dopiero w drugiej połowie ośmnastego wieku, w epoce Encyklopedystów, Woltera i oświaty, pojawiają się bibljofile już w pełnem tego słowa znaczeniu, razem z pojęciem „białych kruków“, amatorskich egzemplarzy ksiąg, razem z zapalonem kolekcjonerstwem i etyką zbieraczy, którzy dla dostania upragnionej rzadkości bibljograficznej, posuwali się czasem aż do kradzieży.

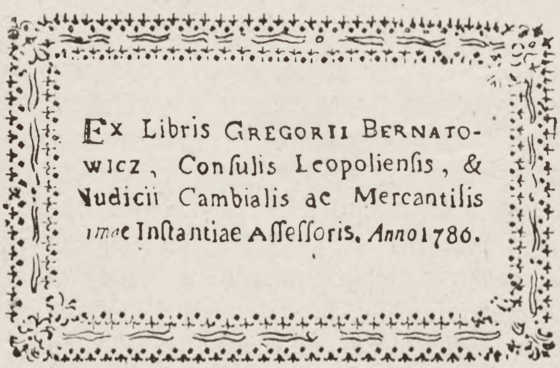
Bibljoteki onych czasów, jak z jednej strony pełne są dzieł francuskich, erotycznych, lub dużych wydawnictw z miedziorytami, czyli kopersztychami jak wówczas mówiono, tak znowu ze strony drugiej poczynają gonić za rzadkością bibljograficzną, pierwszem wydaniem jakiegoś dzieła, lub tylko sędziwym wiekiem inkunabułu.

Złoty wiek dla amatorów i zbieraczy galicyjskich, a specjalnie lwowskich, rozpoczął się z chwilą, gdy rząd austrjacki zniósł wiele klasztorów, a księgozbiorami ich postanowił wzbogacić powstającą właśnie bibliotekę uniwersytetu lwowskiego. Zwieziono tedy do Lwowa około roku 1786 przeszło 40.000 dzieł co najcenniejszych, a rzadkości bibljograficzne wyleciały odrazu na wszystkie strony, jak z puszki Pandory. Chwytała je biblioteka nadworna we Wiedniu, zapełniała się biblioteka uniwersytecka lwowska, łapali je pełnymi garściami i za bezcen zbieracze.

Wszystkie bowiem dublety oraz dzieła, na których się ówcześni mecenasi bibljoteki uniwersyteckiej nie rozumieli, puszczono na bęben przez publiczną licytację. Licytacji takich odbyło się cztery, w latach 1790, 1795, 1796, 1803, a sprzedano na nich około 10.000 dzieł, po prostu za bezcen. Wystarczy powiedzieć, że Biblja Radziwiłłowska poszła za 2 zł. 32 kr., Kochowskiego Klimaktery za 34 kr., Okolskiego „Orbis Polonus“ za 15 zł., a druki Vietora sprzedawano po 15 kr!

Dobre to były czasy dla zbieraczy. Czacki, Ossoliński, Wronowski i inni amatorowie mieli prawdziwie złoty połów, tem bardziej, że i zdezorganizowane, rozbite bibljoteki klasztorów pozostałych, były bardziej dla nich przystępne. Szczęście jednak, że się tacy prywatni zbieracze znaleźli, gdyż inaczej mnóstwo rzeczy byłoby poszło na makulaturę, razem z drukami teologicznymi, które oficjalnie ten los spotkał. A tak z tych dużych zbiorów prywatnych powstały dzisiejsze bibljoteki publiczne.

— W czasie gdy tak „białe kruki“ latały sobie, jak najpospolitsze ptactwo, posiadał we Lwowie bibljotekę Grzegorz Bernatowicz o czem świadczy zachowany w zbiorach Pawlikowskich ex-libris. Trudno wiedzieć, czy i do tej bibljoteki spadł licytacyjny deszcz rzadkości, prawdopodobniejszem jest jednak przypuszczenie, że księgozbiór Grzegorza Bernatowicza, przynajmniej częściowo, odziedziczony został po przodkach. Ormiańska bowiem rodzina Bernatowiczów, przez cały wiek XVII kwitła we Lwowie bogactwem, kulturą i, zwykłem u Ormian, umiłowaniem przepychu. Jeden z jej członków, niejaki Mikołaj Bernatowicz zostawił po sobie nawet piękną galerję obrazów, pomiędzy któremi było naprzykład samych płócien „niederlandzkich“ siedmnaście.



Ex-libris Grzegorza Bernatowicza ze zbiorów Pawlikowskich.

Właściciel bibljoteki i reprodukowanego obok drukowanego ex-librisu, Grzegorz Bernatowicz tak skrupulatnie wymienił na nim wszystkie swe tytuły, że wcale nie trudno się z nim zapoznać. Jak widać piastował on cały szereg godności miejskich, a mianowicie był asesorem sądu ławniczego, sądu handlowego, rajcą miejskim, na których to godnościach zasłużył się zapewne u władz współczesnych, gdyż cesarz Józef II wyniósł go w roku 1789 do godności szlacheckiej*). O samej bibljotece zresztą nie ma żadnych wiadomości, po za tem, że jeden z rękopisów jej, a mianowicie „Prawa i artykuły ormiańskie“, znajduje się dziś w bibljotece Działyńskich w Kórniku. Obok ex-librisu pomieszczony jest na tym rękopisie inny jeszcze znak, być może herb Bernatowicza, przedstawiający widły ku górze zwrócone z ostatniem, na prawo, ramieniem ku dołowi wydłużonem i w kształcie kotwicy rozszczepionem; w miejscu gdzie się poczyna rozszczepienie jest jeszcze kreska poprzeczna.

— Unikatem prawdziwym jednak była bibljoteka jezuity ks. Tadeusza Krusińskiego (1645 — 1756), a to z powodu mnogości w niej druków i rękopisów tureckich i perskich. Ks. Krusiński był przez długie lata misjonarzem w Persji, przeżył tam wielki przewrót państwowy i spisał dzieje jego w dziełach, które współcześnie tłumaczone były na język niemiecki, angielski i t. d. Była to postać jedyna w swoim rodzaju. Ogromny znawca języków wschodnich, niestrudzony badacz dziejów i obyczajów ludu, któremu głosił wiarę chrześcijańską, niedający się niczem odstraszyć podróżnik. Ks. Krusiński osiadł na starość najpierw w Jarosławiu, potem przez długie lata mieszkał we Lwowie u Jezuitów i tutaj też swoje dzieła drukował. Umarł w Kamieńcu podolskim. Przed śmiercią darował wszystkie swoje druki i rękopisy tureckie bibljotece Załuskich w Warszawie, reszta zaś bibljoteki jego rozprószyła się, o ile nie weszła w skład bibljoteki Jezuitów lwowskich. Napis na jednym z rękopisów znajdujących się obecnie w bibljotece Ossolińskich we Lwowie *„ex bibliotheca T. Krusiński S. J.“* świadczy o istnieniu ongi tego księgozbioru.

— Bibljofilem, w całem, nowszem tego słowa znaczeniu, był Ewaryst Andrzej Kuropatnicki, naprzód buski, potem bełzki ka-

*) Barącz: Żywoty sławnych Ormian.

sztelan, kawaler orderów Orła białego i św. Stanisława. Bibljoteka jego posiadała cztery rodzaje, względnie odmiany exlibrisów. Pierwszy drukowany w akcydensowych obwódkach, którego podobiznę obok podajemy, nosił napis „Kuropatnicki, kasztelan bełzki“. Druga odmiana, również druk, ma napis tylko „Kuropatnicki, kasztelan“, trzecia jest rodzajem etykietki, z ozdobną sztychowaną obwódką, na której właściciel własnoręcznie się podpisywał: „Kuropatnicki“. Najciekawszą jednak i najbardziej charakterystyczną odmianą jest czwarta z drukowanym napisem: „Hrabia Kuropatnicki, kasztelan bełzki“, świadczącym, że uczony bibljofil doskonale umiał skombinować, świeży austrjacki tytuł hrabiowski, z urzędem piastowanym w Rzeczypospolitej.



Ex-libris Ewarysta Andrzeja Kuropatnickiego ze zbiorów Pawlikowskich.

Bo w trudnych i ciężkich czasach przyszło żyć kasztelanowi bełzkiemu. Zwolennik Stanisława Augusta—charakter tak usposobieniem chwiejnem, jak i zamiłowaniem w literaturze i sztuce, bardzo podobny do swego króla, cierpiał bardzo w czasie konfederacji barskiej, której ideom musiał hołdować. Ale sam nie dorósł do większej roli dziejowej — więc mu tylko literatura i zapalone amatorstwo książek różowiło horyzont, coraz bardziej się zaciemniający. Żona jego, Katarzyna z Łętowskich, podzielała to zamiłowanie męża tembardziej że i sama była utalentowaną poetką.

Po pierwszym rozbiorze Polski, Kuropatnicki razem ze swymi dobrami przeszedł pod panowanie austrjackie. Z nowym stanem rzeczy pogodził się stosunkowo bardzo łatwo, gdyż był dziesiątym z rzędu dostojnikiem Rzeczypospolitej, który w tabuli wpisał się w poczet magnatów galicyjskich i otrzymał tytuł hrabiowski. Osiadł we Lwowie, gdzie wśród rozszalałego zabawą towarzystwa odznaczał się surowością obyczajów, pobożnośc,ą i amatorstwem ksiąg. Zaprzyjaźnił się z drugim bibljofilem Józefem Maksymilianem Ossolińskim do tego stopnia, że obaj wymieniali sobie nawzajem rzadkości bibljograficzne. Obok ksiąg gromadził Kuropatnicki także rękopisy, łącząc nawet najdrobniejsze, do przeszłości odnoszące się urywki w całe volumina.

Równocześnie pracował ostatni kasztelan bełzki na polu naukowem. Jest on autorem znanego herbarza, oraz historyczno - geograficznego opisu Galicji, wydanego w 1786 roku. — Umarł Kuropatnicki u samego schyłku XVII wieku, w Tarnowcu pod Jasłem, gdzie też został pochowany.

W bibljotece swojej lubił Kuropatnicki porządek *). W r. 1784 sporządził „spis generalny“ książek, który znajduje się dziś pomiędzy manuskryptami bibljoteki uniwersyteckiej we Lwowie. Na wstępie tego katalogu znajduje się prośba Kuropatnickiego do papieża, o pozwolenie czytania i przechowywania ksiąg zakazanych, tudzież odpowiedź papieska z 13 sierpnia 1776 r.

Po śmierci kasztelana bełzkiego przeszedł księgozbiór na syna jego Józefa hr. Kuropatnickiego. Ten wielką ilość rękopisów podarował warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk i bibljotece Ossolińskich, resztę zaś książek przekazał stosownie do ostatniej woli ojca, między innemi, bibljotece uniwersyteckiej we Lwowie, która otrzymała w ten sposób 740 dzieł.

— Podał p. Wittyg w dziele swojem exlibris Jana Mikołaja Łopacińskiego, pisarza wielkiego litewskiego i starosty mścisławskiego, z zagadkowym napisem: „Ex Bibliotheca Leopoliensi J. N. Łopacinski C. M.“ Dlaczego Łopaciński bibljotekę swoją w Szarkowszczyźnie na Litwie nazywał lwowską, trudno było dociec p. Wittygowi, a i we Lwowie nie ma o tem zgoła żadnych wiadomości.

(C. d. n.) *Fr. Jaworski.*

JÓZEF JEDLICZ.

Przygody Jędrzkowe.

(Dokończenie).

Mały zrywał się często po nocach z wrzaskiem przerażenia i pokazywał matce i ojcu ogniste dziewczynki, wirujące w ciemności. Trzymały się wszystkie za ręce i, jak z płaczem zapewniał, tańczyły wielkiem, świetlistem kołem po ciemnej izbie, a co która znalazła się przy pościeli Jędrzka, schylała się nad nim, jak wiotki płomień, i twarzą dotykała jego twarzy. Nad niemi unosił

*) Por. Reifenangel: Bibljoteka uniw. we Lwowie. Przew. nauk. lit. r. 1873.

się ogromny księżyc, w kształcie tęczowej kuli i w takt ich pląsów suwał się bez szelestu pod powałą, krążąc i wirując majestatycznie. Rodzice, sami przestraszeni, zakrywali mu twarz kołdrą, ale on oglądał je wciąż i mówił o nich z takiem przerażeniem, że wyraźnie widzieli w oknie wylatujące z izby, przejasne koło miesiąca...

Pewnego razu — a było to w zimie, w złotą noc księżycową — Jędrek zerwał się ze snu, siadł na łóżku i patrzył zdumiony w brylantową powódź miesięcznych promieni, zalewającą szyby i całą izbę i w ruchome, niespokojne cienie konarów, pełzające jak widma po przeciwległej ścianie. Jędrek patrzył oczarowany, nagle coś ścisnęło go za serce i chwycił go jakiś okrutny żal... Zeskoczył z łóżka w jasną poświatę, zdało mu się, że płynie po jakichś świetlistych wodach, przemknął ciemną sień, wybiegł w koszuli na podwórze i zaczął skakać po śniegu. Potem w głowie poczęły mu tańczyć różne dziwne, cudackie myśli, wypuścił z chlewa wieprzka, otworzył wrota wjazdowe i wybiegł na drogę. Mróz iskrzył się na białej drodze, złote kryształki mieniły się po omszonych konarach drzew; srebrzyste dachy trzaskały. A Jędrek biegał od chałupy do chałupy, od chlewa do chlewa, wypuszczał wszystkie świnie i wieprzki i otwierał wrota, jakie gdzie były. Obiegłszy całą wieś, zatarł ręce radośnie, uśmiechnął się sam do siebie i leciał zdyszany w świetle księżycowem. Uczuł zimno. Drżąc na całem ciele, wrócił do chałupy i wszedłszy pod pierzynę, zasnął twardo. A tymczasem świnie, chrząkając z zimna, rozlazły się po ogrodach. Niektóre marzły nieruchome, ugrzązłszy po brzuch w śniegu. Była nazajutrz wielka awantura w całej wsi. Jędrzka nikt nie widział, a on nie mówił o tem nikomu i czuł dziwną radość z tego wypadku. Dopiero, kiedy go całkiem opuściło, opowiedział rodzicom. Ale ojciec się ta nie spieszył mówić o tem ludziom. Bali się Jędrzka i bez tego. Chłopiec tymczasem rósł szybko i był coraz silniejszy.

Raz, w letnie popołudnie, ojciec w serdaku, wywróconym do góry kudłami, strugał grabki do kosy. Cała podłoga sieni pokryta była białemi trzaskami. Jędrek zbierał po oborze rude, świeżo zrąbane bierwiona olszynowe i znosił pod strzechę. Układał je w stos pod okapem. Szarą ścianę zakrywała coraz wyższa, czerwona połać stosu. Skończywszy robotę, zadumał się, zapatrzył... Potem spiesznie wszedł do sieni. Spojrzał na ojca i struchlał. — — Ojciec miał łeb kozła i czerwone łapy! Ruchy strugającego kozła były tak niesamowite, że w Jędrzku serce zamarło z trwogi. Jednym susem znalazł się przy ścianie, pochwycił siekierę i wydawszy okrzyk przerażenia, zamierzył się na ojca siekierą, jakgdyby jednym zamachem chciał mu strącić z głowy ohydne, koźle rożyska. Ojciec uskoczył z głośnym wrzaskiem, poczem zaczął straszliwie kląć... Siekiera wbiła się z łoskotem w drzewo kloca, właśnie w sam środek sęka, na którym stary siedział. Wtedy to Jędrzka po raz pierwszy związali i bili kijem niemiłosiernie. Był całe trzy dni skrępowany powrozem od pawężu i przytroczony do pieca. Ale po trzech dniach uspokoił się i zaczął gadać mądrze, a prócz tego musieli zdjąć powróz, ponieważ trza było jechać po siano.

Minęło kilka miesięcy. Jędrek często pokładał się na brzemieniu siana, wylegiwał się całymi dniami i patrzył ponuro w górę, utkwiwszy w jakiś jeden punkt nieruchome oczy. Nie dbał ani na muchy, ani na upał. Złe nie wracało. Dopiero w jesieni odezwało się znowu. Jędrek rzucił się na matkę, drzemiącą po obiedzie i ściągnął z niej spodnicę i koszulę. Ta, ocknąwszy się, była tak przerażona, iż wydobywszy się ledwo z jego rąk, naga wyskoczyła na podwórze. — Opowiadał potem Jędrek, iż matka wydała mu się brzemieniem siana, zawiązanem na dwa węzły w grubą, zgrzebną płachtę, którą chciał rozwiązać... Do dziwacznych, nie łatwych do sformułowania wyobrażeń o Jędrzku, przyłączyła się i ta sprawa. Teraz przeważyła we wsi opinja wdowy po starym kumotrze, że Jędrek opętany przez djabła, choć kumoszka po śmierci męża nawróciła się do świata, chodziła po weselach, a nawet myślała o powtórnem małżeństwie. Wszystko omijało Jędrzka zdaleka, gdy szedł, patrząc z pod oka na ludzi, do których stracił zaufanie. Żałowano ogólnie rodziców i załamywano ręce nad matką. Przypominano sobie z przeszłości różne grzechy obojga, za które widocznie Bóg ich teraz karał. Matka kochała jednak bardzo Jędrzka; często modliła się, leżąc krzyżem i płakała gorzko. On zaś stronił, ile mógł, od ludzi.

W kilka dni później Jędrek zrzucił z siebie odzienie i nie pozwalał nic na się włożyć. Siedział goły pod piecem i, co nań włożono jaki łach, rozrywał z wściekłością i ciskał na domowników. Zwykle był wesoły, chichotał głośno, to znowu popadał w smutek; czasem pięściami tłukł złośliwie w tynk pieca. Było w domu dużo

płaczu i wstydu, bo ciekawość ludzka, zwłaszcza kobieca sprawiała, iż drzwi się nie zamykały przed gośćmi. A kiedy wszystkich, nie wyłączając matki, począł bić pięściami i prać w nich rumowiskiem, lub czemkolwiek, co miał pod ręką, związano go powtórnie.

I wtedy to przyszły na Jędrzka dziwne zwidzenia, o których potem opowiadał matce, a które rozstrzygnęły o jego losie.

Kiedy tak siedział skrępowany pod piecem, a wszyscy wyszli z chałupy, obaczył nagle przy nalepie jakąś starą, nieznajomą babulę, trzęsącą się i pochyloną od starości. Na nalepie stały stosy garnków i mis. Jedne ceglaste, malowane w białe kwiaty, drugie orawskie, z żółtemi obramieniami. Co dopiero zjedzono w chacie obiad i matka, po wypłukaniu, postawiła je przy ciepłej blasze do wysuszenia. Było ich tam z kilkanaście. Nieznajoma babina stanęła zgarbiona i drżąca, patrząc wciąż w ziemię i szukając czegoś koło nalepy; spozierała dokoła, wyraźnie zatroskana, potem poczęła oglądać się niespokojnie na wszystkie strony, wytrzeszczając małe oczka i strojąc obwisłą od zmarszczek twarzą dziwaczne grymasy. Wreszcie pochwyciła z chichotem tryumfu długą, drewnianą warząchew, wiszącą na ścianie i zamierzywszy się ze wszystkich sił, poczęła tłuc w stosy naczyń i garbić się coraz pocieszniej. Jędrek patrzył na nią rozszerzonemi źrenicami. Co się zamierzyła i gruchnęła w gliniane garnki, Jędrek mrużył powieki, oczekując trzasku tłuczonych skorup. Ale w izbie trwała wciąż cisza niezmącona i słychać było brzęk much, latających w powietrzu. Jędrek przetarł oczy i patrzył znowu w staruszkę, która wciąż podnosiła w górę warząchew, zamierzała się z całych sił, dyszała ciężko, umęczona i tłukła w garki coraz szybciej, coraz szybciej... Jędrzka ogarnęła jakaś złowieszcza niecierpliwość. Wreszcie porwała go wściekłość. Skoczył na równe nogi, zerwał jednem szarpnięciem więzy i chwyciwszy żelazny pogrzebacz, jednym okrutnym razem stłukł wszystkie garki. Oglądnął się tryumfalnie za babulą, ale ta rozpłynęła się gdzieś bez śladu jak cień...

Jędrzka zbili i związali jeszcze mocniej. Po południu poszli wszyscy w pole; w izbie został Jędrek sam, skrępowany. Leżał pod piecem, zapatrzony w okno. I znowu przyszło zwidzenie. Na izbę padał już mrok, okna zaczęły czerwienić się od zorzy zachodu. Z mroku kąta wyjechał okrakiem na małym stołeczku jakiś maleńki chłopina — staruszek. Drobnemi nóżkami przebierał szybko, bez szelestu po podłodze i trzymając lewą ręką stołeczek, spiesznymi kroczkami stanął przy oknie. W prawej ręce trzymał ogromną kijań. Wbiegł spiesznie po stołeczku na ławę, dźwigając z niesłychanym wysiłkiem kijań, stanął na ławie i z ogromnym rozmachem począł uderzać w okno. Ale uderzenia jego były prawdopodobnie słabsze od muśnięcia skrzydełek muszych, bo szyby stały nieruchome i ani drgnęły. A starowina na tle złotej zorzy wieczornej, cały poczerwieniały ze zmęczenia, otworzywszy gębę, przekręcał łysinką, stroił najdziksze minki, wydymał obwisłe wargi i coraz zacieklej walił kijanią... Jędrek z początku patrzył zdumiony; zrobiło mu się jakoś niesamowicie. Potem rozśmieszony, począł chichotać z radości; kiwał głową w takt uderzeń kijani, bił się skrępowanemi rękami po piersiach i śmiejąc się głośno z niedołęstwa starowiny, całem ciałem miotał się coraz niecierpliwiej... Wreszcie, rozwścieczony do nieprzytomności, rozerwał więzy, jak kruchą słomkę, skoczył do jednego i drugiego okna i dwoma potężnemi uderzeniami pięści wywalił szyby. Śmiejąc się tryumfalnie, wrócił pod piec i widząc, że staruszek zniknął gdzieś bez śladu, położył się jak długi na podłodze. Gdy rodzice przyszli z pola, zastali go smutnego, zapatrzonego w ziemię, umazanego we krwi, z prawą dłonią całą zakrwawioną. Związali go łańcuchem i postanowili pojechać nazajutrz po doktora.

Jędrek spał całą noc twardo i rano opowiadał wszystko przytomnie. Matka nie chciała już jechać po doktora, przeczuwając, że dla Jędrzka wyniknie stąd coś złego. Ale stary był już bardzo zły i pojechał sam do miasta. Gdy doktor przyjechał, Jędrek zaczął zaraz śmiać się do niego, nazywał go „panią kominiarzową“ i radził mu, aby włożył głowę pod blachę, gdzie właśnie z trzaskiem płonęły suche drwa olszynowe. Ale doktor nie posłuchał rady, zato kazał Jędrzka jeszcze mocniej skrępować. Zbadawszy Jędrzka i rodziców, zawezwał starych do komory i długi czas bardzo grzecznie z nimi rozmawiał i wypytywał o różne rzeczy... Nie czynił tego za darmo, bo wyszedłszy z komory, miął w ręku dwudziestokoronówkę, którą zapłakana matka wyjęła była z zielonej skrzyni. — —

Rodzice Jędrzka przez parę dni nie wiedzieli, co zrobić. Namyślali się ciężko, czy iść za radą doktora, czy ludzką. Bo i ludzi się pytali. Wszyscy we wsi radzili, aby chłopaka ofiarować

do cudownej Matki Boskiej i wieźć na Kalwarję, gdzie jeden młody braciszek miał bardzo skutecznie wypędzać djabły z opętanych. Był tam właśnie odpust i dużo ludzi ze wsi pospochodziło; ojcowie Jędrzka oczekiwali powrotu pielgrzymów, aby się dokładnie wypytać. Tymczasem odpustnicy, powróciwszy, donieśli, iż rzeczony braciszek umarł jeszcze w poście. Nic mu ta nie pomogło, że djabły z ludzi wyganiał! — To wpłynęło na decyzję starych.

Na drugi dzień Jędrek, skrępowany łańcuchem, wyjechał z ojcem na bryczce, opatrzonej dobrze w powrozy i łańcuszki, do Krakowa, na oddział umysłowych. Nie bardzo ta chciał jechać, ale musiał. Wyjeżdżając, był całkiem przytomny i płakał rzewnie za matką. Już wyjechali ze wsi i ubili spory kawałek drogi, a płacz Jędrzka dolatywał jeszcze do uszu matki, która odprowadziwszy jadących, powracała do chałupy, okrutnie lamentując. Uwierzyła już była biedaczka, że syn jej naprawdę opętany i że wszystko, co mówi i czyni, jest sprawą djabelską — mimo to płacz syna boleśnie zakrwawiał jej serce i nigdy już nie zapomniała tego płaczu.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Zastosowanie wolności obywatelskiej do spraw ekonomicznych doprowadza do najzupełniejszej wolności umów pieniężnych czyli do gospodarstwa handlowego, niczem nieskrępowanego, prócz woli interesowanych. Mamy więc z jednej strony nieograniczoną lichwę, z drugiej nienaruszalną własność prywatną; tylko prawo religijne i obyczajowe może zapobiedz nadużyciom. Taka zasada panuje dotychczas w Anglji i w Zjednoczonych Stanach, tylko że została, osobliwie w tym ostatnim kraju, ogromnie spaczona wtrącaniem się władzy (na wzór rządów europejskich) i nadaniem ziem narodowych prywatnym wielkim właścicielom, z czego powstali amerykańscy m i l j a r d e r z y. Taki sam błąd popełniła niegdyś wielka francuska Rewolucja. W tem jest ogromny niedostatek angielskiej konstytucji, bo władza królewska, zupełnie nominalna d e f a c t o, co do swobód obywatelskich jest d e j u r e absolutną i chociaż nie wolno jej, podług obyczaju, ściągnąć jednego grosza podatku bez zezwolenia opodatkowanych (za to Karol Stuart został stracony), może szafować darowiznami i koncesjami według upodobania i na tej legalnej podstawie oparł się w Anglji wyzysk pieniężny.

Amerykańscy zaś republikanie niewolniczo się trzymają swoich tradycyjnych angielskich praw i obyczajów we wszystkiem, oprócz zarządu politycznego i kościoła państwowego.

Tem bardziej została zasada przekręcona na stałym lądzie Europy. Właśnie około 1840 roku gospodarstwo pieniężne Anglji: towarzystwa akcyjne, spółki handlowe, najrozmaitsze banki itp. służyły wzorem dla nowych ustaw finansowych we Francji, w Niemczech i t. d. Jedna Rosja gospodarowała jeszcze po dawnemu i regulowała wówczas swoją walutę (srebrem); zasadą było, że car jest właścicielem wszystkiego, ogólnym bankierem i kupcem. Ale połączenie wolnego handlu z niewolą obywatelską musiało koniecznie doprowadzić do systemu k o n c e s y j, t. j. ten tylko jest wolnym, komu rząd na to pozwala i z tego się wyrobiła klasa uprzywilejowanych lichwiarzy. Z drugiej strony ogromnie rosnące długi państwowe pochłonęły całą gotówkę, czyli że rządy kazały sobie pożyczyć wszystkie pieniądze i dały za to kwitki, bankocetle; więc cały obrót pieniężny został zupełnie zależnym od rządu. Z tego miało się wytworzyć teraźniejsze rozpaczliwe ekonomiczne położenie, w którem nawet przeciwnicy rządów muszą od nich zależeć, ciesząc się jedynie nadzieją, że i oni kiedyś będą rządem i będą pieniądzmi szafować. A klasy pracujące jak płacą, tak płacą, bo wytwórcze siły są jedynem źródłem bogactwa; nie dziw, że każdy pnie się, ile może, na wyzyskującego i że wytwórcze zajęcia upadają. Z tej ostatniej sprzeczności wyrodził się teraźniejszy nieopisany zamęt w pojęciach ekonomicznych.

Dałem ten krótki pogląd, ażeby łatwiej było zrozumieć najsprzeczniejsze na pozór polityczne zjawiska, o których dalej będzie mowa. Może się czytelnik zapyta, dlaczego w tym obrazie niema chłopskiej niewoli, która jeszcze wówczas istniała w większej części Europy, która miała w naszym polskim ruchu taką ważną odegrać rolę? Nie mogę o niej mówić, bom jej osobiście nie widział, jakem nie widział i niewoli murzyńskiej, istniejącej wówczas w naj-

okropniejszej postaci. A tyle sprzecznych zdań o niej słyszałem, nawet pochwał, pozornie dosyć uzasadnionych, kiedy się porównywa stan dawnego poddanego z położeniem teraźniejszego proletarjusza, że nie chcę się puszczać na nieznaną niwę, bym się nie skompromitował. Podług moich zasad niewola chłopska jest bezprawiem i obrzydliwością, całe życie dążyłem do jej zniesienia — ale więcej o niej nic nie wiem i o niej przeto „zamilczeć wolę“.

Dość, że cały liberalny świat hołdował wówczas wyżej wymienionym; o pozytywiźmie nikt nie wiedział, socjalizm był jeszcze mistyczno-fantastyczną teorją, bardzo zbliżoną do pierwotnego chrześcijaństwa. Kwestja narodowości była zupełnie przez rządy nieprzyznaną i połączoną najściślej z rewolucją; nawet Moskalom nie wolno było się Słowianami nazywać, co Szewczenko bardzo dotkliwie na sobie doświadczył. O niemieckiej filozofji, o grasującym wówczas Hegliźmie, absolutnie nic we Francji wogóle nie wiedziano, chociaż miał jej kaducznie naszkodzić przedzierzgnięty przez Proudhona i Comte'a w niby francuskie szaty — a ja dotychczas myślę, że o takich niedorzecznościach lepiej nic nie mówić. Jest to nowa scholastyka, daleko gorsza od średniowiecznej i wiek dwudziesty najlepiej zrobi, kiedy weźmie przykład z szesnastego i rzuci ją do kosza. W Polsce ówczesnej, powiem to na chwałę naszego społeczeństwa, była ona wówczas wszędzie wyśmiana; czemuż równie nie wyśmiano jej nieodrodnego dziecka, pozytywizmu?

IV.

Nie powiem, żeby „stolica cywilizacji“ czarujące na mnie wywarła wrażenie. Bardzo wysokie domy, wąskie i brudne ulice, gwar, ścisk, nieznośny turkot wozów, wszystko to mnie zachwycić nie mogło. Zresztą (może z powodu mojego nader krótkiego wzroku) o ile pamiętać mogę, ani miasto, ani budowle ludzkie we mnie nigdy zbytniego zachwytu nie budziły; cała moja sympatja była zawsze dla przyrody, czy to nad Oceanem, czy w Alpach, czy w Tatrach, czy nad Dunajem węgierskim, czy nad Aralskiem morzem, w niebotycznych górach i nieprzejrzanych puszczach i stepach Azji. A widziałem niemało stolic i monumentów, od stolicy peruk, Wersalu, do „złatej Prahy“, do ogromnego Petersburga i do dalekiego Taszkentu. Przypomniało mi się w tej chwili, że krocie Polaków daleko więcej na świecie widziały od czasu, jakeśmy się wdali w tułaczkę — więc przestaję się chwalić.

Zresztą Paryż ówczesny wcale w rzeczywistości zachwycającym nie był, choć go tak Hugo wychwala w *Notre Dame de Paris,* za to, że nie był podobny ani do Berlina, ani do Petersburga. Oprócz „bulwarów“ które są jeszcze dzisiaj bardzo mierną ulicą, nawet w porównaniu ze Lwowem, nie było tam ani jednej porządnej arterji; a Sekwana wcale do rzędu zachwycających rzek nie należy, nawet we Francji mającej Loarę, Rodan i Garonę. Cóż dopiero, gdy się zapędzić w dzielnice Starego miasta, La Cité, czyli wyspę, na której się Paryż, *civitas Parisiorum,* urodził przed wiekami, *Saint Denis, Saint Martin, Saint Antoine, Quartier Latin?* W wąziutkich ulicach nie było wcale trotuarów, rynsztok płynął na środku ulicy, a w nocy zaledwie parę wiszących olejnych latarni, *rewerberów,* zapobiegało, ażebyś nie wpadł do ziejącego i cuchnącego otworu kanału, źle przykrytego zardzewiałą kratą. Widziałem nawet jeszcze gdzieś około przedmieścia *du Roule* zupełnie odkryty główny kanał, coś na kształt lwowskiej Pełtwi, tylko daleko potężniejszy pod wszystkimi względami i osobliwie dla powonienia. Ogromnie wysokie, często siedmiopiątrowe, obdrapane domy, o tyle lepsze od naszych, że ciosowe, bez tynku, zaciemniały wąskie uliczki, wypuszczając na nie najrozmaitsze fetory, a nowe kamienice dopiero wówczas zaczynały się budować. Te, które zastąpiły po Rewolucji stare, średniowieczne budynki, były, osobliwie na przedmieściach i brzydkie i nietrwałe, bo składały się z łamańców *(moëllons)* i z gipsowego, pruskiego muru; o cegle pojęcia nie miano, chyba dla posadzek.

(C. d. n.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Aleksander Brückner: Dzieje języka polskiego. Nakładem Tow. Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie: Nauka i Sztuka. Lwów. 1906.

„Dzieje języka polskiego“ nie są teoretycznem studjum, niedostępnem dla nie-fachowców; celem autora jest „wyłożenie dziejów języka polskiego od najdawniejszej dostępnej fazy poprzez wieki jego bytowania, aż do dzisiejszego stanu“. O prawach i czynnikach, wywołujących pewne zmiany, autor szczegółowo nie mówi, chodzi mu bowiem o danie — nie dość znającemu własny język ogółowi — popularnego, krótkiego zarysu rozwoju naszego języka, i przedstawienie jego bogactwa, które go wynosi ponad inne pokrewne.

Język dla Brücknera stanowi najściślejszą miarę dla oznaczenia kultury narodowej, stosunków społecznych, w ścisłym pozostaje związku z całokształtem życia społecznego. Przykładem choćby w. XVI., w którym wraz z podniesieniem się ekonomicznem i politycznem budzi się gorące życie umysłowe, a wraz z niem następuje rozwój języka, lub czasy sejmu czteroletniego, w których bogactwo języka nadzwyczaj się wzmogło. Język też pozwala najlepiej ocenić istnienie, siłę i kierunek wpływów obcych, dość wspomnieć o wpływach czeskich, od Dąbrówki po w. XVI, o wpływie chrześcijaństwa, lub niemczyzny, najsilniej oddziaływującej w XIII i XIV wieku. Każda bliższa styczność z innym narodem pozostawia cały zasób słów nowych, żywcem przyjętych lub zmienionych. W ten sposób omawia autor rozliczne wpływy obce, ciągnące się przez wszystkie epoki rozwoju językowego. A dzieli on je na przedhistoryczną 600 — 1100, i dwie historyczne od 1100 — 1500 i od 1500 — 1763 r., wreszcie najnowszą po czasy dzisiejsze.

Prócz omówienia najogólniejszych praw językowych, znajdujemy też rys krótki grafiki polskiej w poszczególnych okresach.

Z bogatej treści, omawiającej pierwszą epokę, podkreślić należy rozbiór poszczególnych słów, nazw, imion, ustalenie czasu ich powstania, historycznego następstwa — jako pewnego rodzaju przykład na łączność języka z stosunkami społecznymi i na znaczenie języka przy rozwiązywaniu zagadnień dziejowych.

W rozbiorze pierwszej doby historycznej, obejmującej już piśmienne zabytki (pierwszym bulla z roku 1136, zawierająca spis nazw, miejscowości i imion), spotykamy się z obszernym rozbiorem narzeczy. Czy to omawiając drugą dobę historyczną, którą cechuje zerwanie jedności językowej, rozdział na język ludowy i klas wykształconych, czy też następne, kiedy język zwolna się ustala, wzbogacony przez reformację i humanizm, czy też saską martwotę, przerwaną dopiero za czasów stanisławowskich, czy też wreszcie ostatnie ożywcze prądy romantyzmu, i doby współczesnej — nie zapomina autor o określeniu stosunku poszczególnych warstw społecznych do rozwoju językowego, o oznaczeniu granic wpływów postronnych w każdej epoce, o podkreśleniu charakterystycznych jej momentów i zaznaczeniu związku z językiem dzisiejszym.

Szeroki ogół na zjawiska językowe patrzy obojętnie, lingwistyka jest dlań dziedziną obcą, nieznaną. Przyzwyczajeni do skostniałego i szablonowego uczenia gramatyki w szkołach uważamy wszelkie badania językowe za zbiór nużących reguł, dla zrozumienia objawów życia niepotrzebnych — mylność tego twierdzenia i bezzasadność dobrze udowadnia książka Brücknera, nacechowana gorącem umiłowaniem kultury narodowej.

Pracę prof. Brücknera czyta się, jak obrazek obyczajowy, zwłaszcza, że styl lekki, przejrzysty i barwny. Forma zewnętrzna też na pochwałę zasługuje. Książkę zdobi 121 illustracji, przedstawiających inicjały, miniatury, podobizny druków i rękopisów, i karty tytułowe dzieł w historycznym przeglądzie. *t. c.*

K. Króliński: Z Ugorów. Poezje. Gebethner i Wolf w Warszawie. Stanisławów, nakład księgarni R. Jasielskiego 1907.

Na tle egzotycznych kwiatów poezji, wykwintnych w formie, a myślą szybujących w zaświaty, odbija skromna wiązanka *Z Ugorów* wdziękiem polnych kwiatów. Autor tych pieśni, Jan Denes, to nie „obserwator“ ludu nie „sympatyk“, ale kość z kości tej siermiężnej rzeszy, wyzutej z praw i wolności, której dzień wyzwolenia nie daleki. Z jego prostych, niewyszukanych pieśni bije chłopska dusza. Jedyną szkołą była mu strzecha wiejska, w której biedzi się od świtu do nocy matka, prosta chłopka; wykarmiła go ziemia, naokół chaty rozpostarta, którą ojciec w pocie czoła uprawia, gryząc się, że mu tej ziemi na chleb nie starczy. To też miłość ziemi rodzinnej jest zasadniczym nastrojem poety. Kocha on ten skrawek ziemi, jak bałwochwalca, w zakątku wsi rodzinnej widzi olbrzymie światy. Piękno jej wyczuwa z drgnienia liści, z woni kwiecia i rozpromienia w jasność płonących gwiazd. Od lat chłopięcych, kiedy pasał trzodę po zżółkłych ścierniskach, nasiąkł — tym odwiecznym smutkiem, co „drzemie na szarych mgieł fali“ i „ludzi straszy pomroki otchłanią“. Dlatego nuta pieśni jego ma tonację *mollową*, zawodzi *pianissimo,* i nie wiem, czy się znajdzie w całym zbiorku bodaj jedna kompozycja brzmiąca *forte,* w tonacji *dur.* Młody poeta, zdobywający sobie ostrogi literackie, niewtajemniczony w arkany sztuki rymotwórczej, umie pochwycić ciche westchnienia pól, na nić myśli nanizać pomrokę, co się wzdłuż zagonów słania i na smutne spada chaty. Dusza poety uskrzydla się w zmrok wieczorny łzawy, jesienny, a nieraz mota się na ramiona przydrożnych krzyży, co świecą próchnem. I nic dziwnego. Autor, co do 24 roku życia nie opuszczał rodzinnej wioski, a do dziś najserdeczniejszymi węzły zespolony z bracią siermiężną, odczuwa głęboko, jak co dzień pod nogi chłopom kładzie się ciężar niedoli, jak wicher wdmuchuje w ich piersi smutku jad i siłę... Ale ten ogrom tęskноty, co przelewa się przez brzegi duszy chłopskiej, nie mroczy jasnej myśli poety, nie gasi jego młodzieńczej wiary. Jakiś słoneczny duch miłości rozświetla owe mgły, co legły wszerz i wzdłuż nad nieprzejrzaną rzeszą, osieroconych, zapadłych w beznadziei sen. W pieśni Królińskiego tli święty ogień, co zbolałe serca nadzieją świetlaną zapala i łzy osusza. Lutnia jego przepowiada, że „ziemica smutna, runią wolności się zadarni i czarem wiosny odmłodnie“. Ponad szare wioski i zamglone ugorzyska, rozpina poświatę wstających zórz — jutrznię różaną wyzwolenia. *H. Biegeleisen.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.